

Koniec współpracy humanistów z Europą Środkowo-Wschodnią?

Manifestacyjnie propagowaną w nowej ustawie o nauce (i we wszelkich „reformach” szkolnictwa wyższego i nauki od lat) tendencją rozwojową jest tzw. umiędzynarodowienie nauki polskiej. To postulat słuszny. Szkoda, że przybiera on w praktyce utopistyczny, wprost szkodliwy kształt. Umiędzynarodowienie – gdy przełożyć je na rozporządzenia, dyrektywy – oznacza bowiem współpracę *de facto* z czterema rodzajami podmiotów naukowych: tymi z Europy Zachodniej [pozaunijnej], Unii Europejskiej, Stanów Zjednoczonych i Kanady oraz wysoko cywilizacyjnie rozwiniętych krajów świata (Japonia, Korea; czy też Chiny i Tajwan, nie byłbym pewien).

Jest to podejście oderwane od elementarnych, rudymen-tarnych podstaw istnienia państwa i wspólnoty obywateli, tworzących to państwo, w tym naukowców. W tym mitycznym myśleniu „Zachód” oznacza wszystko to, co najlepsze w nauce: poziom badań, standardy etyczne, skalę umiędzynarodowienia itp. Być może tak jest najczęściej w naukach ścisłych, lecz w obszarze humanistyki i nauk społecznych sprawa jest co najmniej dyskusyjna. Piszę to jako wieloletni praktyk współpracy międzynarodowej w nauce, kierujący specjalnie powołaną w 2011 roku w tym celu Katedrą Badań Filologicznych „Wschód – Zachód” (UwB). Co gorsza, ta wizja „umiędzynarodowienia” ignoruje fundamentalne czynniki kształtujące los wszystkich obszarów i dyscyplin badań w Polsce: otóż ignoruje nasze miejsce na mapie! A realna Rzeczpospolita leży na mapie między Zachodem (Unią Europejską) a Europą Środkowo-Wschodnią: Ukrainą, Białorusią, krajami bałtyckimi, Mołdową i w końcu Rosją. Nasz kraj nie jest, jak wydawać by się mogło, cywilizacyjną wyspą u wybrzeży atlantyckich Europy, lecz leży wciśnięty między dynamicznie zmieniającą się Zachód a niespokojny Wschód: na Ukrainie trwa wojna, Rosja przekształca się w kierunku państwa autorytarnego już nawet bez pozorów demokracji, waży się los państwowości białoruskiej, której grozi inkorporacja do Federacji Rosyjskiej, wszystkie państwa bałtyckie czują się bezpośrednio zagrożone, Mołdowa dryfuje między Rosją a UE. A jest jeszcze niedaleko od polskich granic położone Naddniestrze – baza rosyjska, obszar niespokojny, zapóźniony cywilizacyjnie. Dobrze, gdyby twórcy reformatorskich ustaw uświadomiali sobie, że Rzeczpospolita ma na tym obszarze zasadnicze, strategiczne interesy społeczne, polityczne, geopolityczne – i naukowe. Tymczasem kształt proponowanych rozporządzeń praktycznie likwiduje współpracę ze Wschodem:

– Publikacje w rosyjskich, białoruskich, ukraińskich i innych wschodnioeuropejskich pismach naukowych z zakresu humanistyki praktycznie nie będą „punktowane”, o ile nie trafią do czasopism z bazy Scopus. Problem w tym, że w krajach tych – też, jak Ukraina czy Bułgaria, przeprowadzających „scopusoizację” dorobku naukowego – takich pism nie ma! Ilu badaczy ze wschodniej Europy spełni zaś standardy pism polskich z tej bazy?

– Podstawową formą współpracy z humanistami z Białorusi czy Ukrainy były do tej pory wspólne konferencje naukowe i publikowane po nich monografie zbiorowe. I ta działalność w świetle „Ustawy 2.0” nie będzie doceniona. Jeśli ma być ona dowartościowana przez ocenę ekspercką jako tzw. „wpływ społeczny”, to wątpię, by konferencje w Kijowie, Odessie, Wilnie, Grodnie czy Mińsku znalazły odpowiednie uznanie ekspertów znających tylko współpracę z Zachodem jako mierniki wartości badań humanistycznych. Na Białorusi, Ukrainie, a nawet „unijnej” Litwie, nie można, ot tak, po prostu dłatego, że się chce, organizować długotrwałej i owocnej współpracy w zakresie humanistyki. Trzeba znać realia i być akceptowanym w tamtejszych środowiskach. Takie są tam społeczne i polityczne warunki uprawiania nauki...

– Idźmy dalej: we wszystkich tych krajach mieszka liczna mniejszość polska (z kolei RP ma na swoim terytorium mniejszości białoruskie, ukraińskie itd.); część elit naukowych na tym terenie ma polskie pochodzenie, część

nie ma, lecz większość chce współpracować naukowo z Polską. Polscy humaniści od ćwierćwiecza obsługują olimpiady języka i literatury polskiej w tych krajach, prowadzą rekrutację na studia w Polsce. Język polski jest dziś z wielu powodów najpowszechniej nauczany językiem obcym na przykład na Ukrainie. Przede wszystkim badacze zabezpieczają dziedzictwo polskie (często wspólne: polsko-litewskie, polsko-ukraińskie) na dawnych ziemiach wschodnich RP: od zabytków po rękopisy.

Wydajemy w Polsce krytycznie (w ramach najsurowiej ocenianych grantów, np. NPRH) dzieła polskich pisarzy i myślicieli z tego pogranicznego obszaru (często z rękopisów i pierwodruków). Organizujemy na tak wymagającym terenie sesje, na przykład: o Orzeszkowej i Mickiewiczu (Grodno, Mińsk), emigracji polskiej i ukraińskiej, pisarzach ukraińskiej szkoły w romantyzmie polskim (Kijów, Żytomierz), o Polakach i mniejszościach (Odessa), folklorze litewsko-polskim i pisarzach dwu- i wielojęzycznych (Wilno) itd.

Czy ktoś z projektodawców nowych przepisów pomyślał o tej strategicznej dla państwa i kultury współpracy (wspieranej zresztą stale przez MSZ!)? Otóż nie. Ekspertki ocenią te działania jako społeczny „wpływ lokalny”. Za edycje teksów zdobytych na wschodzie zaplanowano (tak było jeszcze kilka tygodni temu!) 20 punktów (a nie 80, jak za monografię). W tym ostatnim przypadku skala, delikatnie mówiąc, niefrasobliwości jest niewyobrażalna. Jak zostaną docenieni badacze prowadzący olimpiady języka i literatury na tym terenie? Dodam jeszcze, że sprawa współpracy międzynarodowej na tym obszarze ma wymiar polityczny i geopolityczny: w odniesieniu do mniejszości obowiązują zasady wzajemności. Na tym terenie trwa też rywalizacja Zachodu, Ameryki i Federacji Rosyjskiej, której skutków (pomińmy je milczeniem) wszyscy pracujący na tym terenie doświadczają.

Dowiadujemy się oto, że nowa ustawa nie tylko nie premiuje współpracy naukowej z tym obszarem, lecz ją niemal likwiduje. Trudno! Badacze pracujący na Wschodzie od lat współpracują też z Zachodem, żywo interesującym się wszystkim, co leży na wschód od Polski. Tylko czy o to chodzi, by polscy humaniści zostali wyeliminowani z Europy Środkowo-Wschodniej? Spójrzmy na mapę.

– Ostatnia kwestia: trudno mówić o stałej, planowej współpracy z instytucjami naukowymi państwa rosyjskiego. Tu wpływ czynników politycznych, pozamerytorycznych jest obezwładniający, paraliżujący. Ale należy zachować współpracę, kontakt z tymi naukowcami z Rosji, którzy chcą i mogą ją prowadzić. Trzeba też, by Polska była krajem nie tylko posiadającym czasopisma z „magicznej” bazy Scopus, gdzie raz w roku jeden czy dwóch badaczy ze Wschodu opublikują artykuły, lecz by elity z tych krajów mogły bez tyranii punktów prezentować swą kulturę, naukę, życie społeczne Polakom. Byśmy mogli wspólnie wydawać książki nie w Londynie, lecz w Grodnie, Kijowie, Kownie, Lwowie, Warszawie, Białymstoku, Krakowie, Lublinie.

Badacze z Zachodu i Ameryki nie interesują „papierowe” analizy pisane w oderwaniu od rzeczywistości. Sławistów i polonistów zachodnich, ale też azjatyckich (Korea Płd. i Japonia są dziś ważnymi ośrodkami polonistycznymi), interesuje to, co dzieje się na miejscu: kultura, historia postrzegana oczyma ludzi tam żyjących, przemiany społeczne Europy Środkowo-Wschodniej.

Pomysł umiędzynarodowienia nauk humanistycznych i społecznych, polegający na imitacji Zachodu, postrzegam jako propozycję oddania innym tych obszarów badawczych, takich jak Europa Środkowo-Wschodnia, w których mamy wiele do powiedzenia, mamy kontakty i doświadczenia.

Proponuję, by ktoś z twórców tych rozporządzeń pojechał na Wschód i zechciał wydać (za ileś punktów...) jakies ważne dla naszej literatury lub historii dzieło spoczywające w tamtejszych archiwach. Zastanawiam się, co by powiedział po powrocie...?

JAROSŁAW ŁAWSKI

Katedra Badań Filologicznych „Wschód – Zachód” UwB